

## Szkółka



## niedzielnia

Módl się i pracuj, a będziesz szczęśliwy.

**Leszno.** — Niedziela piąta po Wielkiej nocy, dnia 27. Kwietnia 1845.

## Religia.

Cudowny jest Pan Bóg w swych dziełach.

*Kasper i Kordula Lipdomscy.*  
(Dalszy ciąg.)

Anzelm zostawał bez przerwy rok cały u przyjaciela swojego ojca i majstra w stolicy, od którego bardzo wiele korzystał w sztuce swego rzemiosła, doznając uprzejmego obchodzenia się z sobą. Troskliwy ojciec najlepsze odbierał wiadomości i świadectwa o sprawowaniu się i pilności Anzelma. Przy końcu tylko oświadczył się w liście do ojca majster, że Anzelm, dla swego żywego temperamentu i jakowejś lekkomyślności, łatwo mógłby być zwiedziony z drogi cnoty, skoroby miał wolność i przystęp do złych kompanij; prócz tego zaś, żadnego innego i najmniejszego doniesienia nie odebrał ojciec ze stolicy.

Po upłynieniu roku udał się Anzelm z dwoma innymi czeladnikami za granicę, do Austrii, lecz piérwój zawiadomił o tém rodziców, nim wszedł w układy z majstrem w Peterwardein, w Węgrzech. Obchodząc Węgry i państwo austriackie, całe dwa lata nie zgłosił się wcale do rodziców z zawiadomieniem, gdzie się znaj-

duje. Mocno tedy rodzice byli o niego skłopotani, a nie wiedząc, gdzie jest, i czy żyje jeszcze, nie mogli do niego pisać. W końcu odebrali wiadomość, cudzą ręką pisaną, to jest majstra Froelicha z Pest. Ten przypadkowo w sypialnej komnacie Anzelma przeczytał przestrogi i rady, jakie mu dał ojciec na piśmie na jego wędrówkę. Rady te, czule wrazenie na jego sercu sprawując, pobudziły go do doniesienia ojcu, że jego syn Anzelm już od znacznego czasu wdaje się w złe kompanie, któreby go mogły zupełnie zepsuć, jeżeli co prędzej z nich wyrwany nie zostanie. Radził więc ojcu, aby pod jakim pozorem powołał syna do domu. Łatwo się domyślić, jak zasmuciło to doniesienie rodziców. Bez zwłoki pisał ojciec do zanego majstra i razem do syna, i zobowiązał go, aby natychmiast wracał do domu. Usłuchał i w dwanaście dni stanął w domu; ale dobrzy rodzice naoczne spostrzegli na nim ślady jego zdziczałości, tak dalece, że przy wielkiej usilności słabą mieli nadzieję, czy go potrafią zwrócić do dawniej rządności i układności. Tak mu głęboko utkwiał świat wesoły w głowie, że rodzice często między sobą mówili: »jeżeli się Bóg sam nie zmiłuje, to Anzelm już zgubiony. Prawda, że biegły

wrócił w swoim rzemiośle, ale z obcych krajów złe obyczaje przyniósł do domu.“

#### Pobór wojska.

Ledwie rok upłynął po powrocie Anzelma do domu, gdy powstała powszechna wojna, na którą wszystka młodzież, od dziewiętnastu do trzydziestu lat, powołaną została. Między innymi w miasteczku, padł także los i na kowalczyka Anzelma. Ten traf w gruncie serca ucieszył go, że będzie mógł dawniej wolności kosztować, i jako wojak chodzić po świecie. Ojciec i matka, jako bogobojni rodzice, poddali się wprawdzie rozrządzeniu Boskiemu, to przecie w nich żalność wzbudzało, że w tym czasie tracili syna, kiedy im jego pomoc w rzemiośle była bardzo potrzebna, a tém bardziej jeszcze, że się słusznie lękali, aby się wśród rozwiózłych żołnierzy zupełnie nie zepsuł. Że przecie tego już zmienić nie było w ich mocy, zdali się zupełnie na wolę Boga, polecili go Jego opiece, a tymczasem młodszy syn Konrad był ojcu w rzemiośle pomocą.

Między innymi naukami, które mu i tą razą przy odejściu do wojska dali rodzice, te trzy były istotne: aby zawsze pamiętał na obecność Boga, żeby żadnego dnia nie opuścił modlitwy, i żeby się nie wdawał w złe kompanie. Odszedł tedy Anzelm, a od tej chwili przez całe trzy lata nic o nim nie słyszeli rodzice. Nie mogli do niego pisać, bo nie wiedzieli, w którym regimencie i gdzie stoi. Dopiero po trzech latach, gdy się dowiedzieli, że ich syn o pięćdziesiąt mil w pewnym miasteczku na załodze zostaje, poddyktowała matka Konradowi następujący list do niego:

„Anzelmie! najukochańszy nasz synu!

„Nie wiemy, co mamy myśleć, że już od trzech lat najmniejszej wiadomości nie

dajesz o sobie. Jak nas wieści dochodzą, znajdujesz się teraz na załodze, gdzie zapewne tyle czasu mieć możesz, abys nas sobie przypomniał. Żądamy i nakazujemy ci, abys do nas napisał i doniósł, jak ci się powodzi, i czy w jakowej batalii ranny nie zostałeś. My wszyscy mocno się o tobie kłopotem; przecie jeszcze nie musiałeś zupełnie zapomnieć o rodzicach, a myślím, że i te przestrogi zachowałeś w sercu, i wypełniasz je w życiu, które ci z taką miłością daliśmy przy odejściu do wojska. O jakby to nas martwiło, gdybyś powtórnie miał zniszczyć z drogi cnoty i wdawać się w złe kompanie! Ach! sama ta myśl wtrąciłaby nas do grobu! Ufamy przecie, żeś wierny przyrzeczeniom pozostał. Przetoć nas zaspokój, i pisz natychmiast. Z największym utęśnieniem czekać będziemy na list od ciebie. Polecamy cię Bogu i opiece świętego Anioła stróża.

#### Kasper i Kordula.“

Na ten list wcale nie odpisał Anzelm; rodzice przecie inną drogą otrzymali o nim wiadomość, ale bardzo zasmucającą. Żołnierz, rodem z tegoż miasteczka i w tymże regimencie stojący co Anzelm, przyszedł na urlaub, i ten opowiadał, że Anzelm żyje w prawdzie, i jest zdrowy, ale się obawiać trzeba, aby za swoje bałamutne życie nie został napiętnowany i wypędzony z wojska. Łatwo sobie wystawić, jakim żalem i żmartwieniem ta wieść przejęła Lipdomskich. „Czyż to podobna,“ rzekł ojciec, „aby nasz Anzelm tak daleko zapomniał się i zabrnął!“ — „O gdyby był raczej umarł na wędrownice!“ zawołała matka, załamując ręce i płacząc. Ojciec: Nie płacz, kochana żono, i ten krzyż przyjmijmy w cierpliwości, z uległością, z litościwej ręki Boga, a nie narzekajmy na Jego świętą opatrność. —

**Matka:** To prawda, kochany mężu, odpowiedziała Kordula; twoja uwaga jest bardzo słuszna, i w tym nawet razie powinniśmy się poddać Jego świętym rozporządzeniom, a z głębi serc, zupełnie zdających się na Jego wolę świętą, przemawiać: bądź wola Twoja święta! — **Ojciec:** Ale, droga żono, cóż teraz poczniesz? jakże sobie postąpić? — Tu się na chwilę zamyślił, potem rzekł: wiesz co, kochana matko! pewnie wypadnie odżałować kilka dni, zwłaszcza, że teraz nie mamy pilnej roboty: jeżeli nie będziesz przeciwna temu, to ja sam udam się na miejsce, gdzie nasz syn na załodze stoi, i dowiem się naocznie, czy w samej rzeczy tak jest; boć jednak obojętnymi być nie mogę na jego obłąkanie; powinniśmy, póki żyjem, pracować nad jego poprawą. — **Matka:** Dobrze, kochany mężu! idź w imię Boskie, a ja tu, ile zdołam, krzątać się będę z dziećmi, modlić się za was, i czekać z utęsznieniem twojego powrotu.

Uradzono tedy podróż i oznaczono dzień do niej, to jest następującą niedzielę. Od tej chwili nie upłynęła żadna godzina, w którejby matka troskana nie przesyłała do Boga smutnych westchnień i czułych modłów. „Teraz,“ rzekła do męża, „ach teraz, kochany mężu, Bóg nas nawiedził najcięższem zmartwieniem. Łatwiejby mi było znieść wszystko, jak to, że nasz syn, tak troskliwie chowany, przyuczony chodzić drogą cnoty i świątobliwości, został uwiedziony na bezdroża występne. Przecież ufam w dobroci Boga, że jeszcze i teraz okaże miłosierdzie nad nami,“ a złożony ręce i wzniosłszy je do nieba, dodała czułym głosem: „Bądź wola Twoja święta, o Boże!“

(Ciąg dalszy nastąpi.)

### Pokój ci!

Gdy się odprawia Msza święta przy usłudze Dyakona i Subdyakona, jak nazywają teraz z asystą; wtedy Celebrujący udziela pokoju przez uściśnienie, (dawniej i ucałowanie) przed modlitwami poprzedzającemi Baranek Boży. Zwyczaj ten bierze swój początek od Apostołów i ciągłym podaniem zachowuje się w kościele świętym. Apostołowie znak pokoju czynili przez pocałowanie, i wiernym swoim udzielać go wzajemnie nauczali; lecz to rozumieli za święte pojednanie się, i pocałowanie pokoju za święty uczynek mieli, jak ś. Paweł, pisząc do Rzymian, wyraża się: „pozdrówcie jedni drugich z ucałowaniem świętym.“ \*) Innocenty pierwszy, Papież, który przydał we Mszy ten wiersz: pokój Pański niech będzie zawsze z wami, (pax Domini sit semper vobiscum) ustanowił także, aby w czasie Mszy przed komunią dawano znak pokoju przez święte ucałowanie. Kapłan tedy, całując ołtarz lub kielich, albo samo ciało Chrystusowe, jak to w Francyi trwało do roku 1608, na znak tego, że wziął pokój od Chrystusa, dawał go Dyakonowi, całując i mówiąc: pokój ci bracie i kościołowi świętemu Bożemu; a Dyakon odpowiedzawszy: i duchowi twemu; dawał tedy Subdyakonowi, ten bliższemu Klerykowi; od Kleru kolejną przechodziło to aż do wierne go ludu. W późniejszych wiekach ustanowiono, dla wdzierających się nadużyć, aby tylko przy ołtarzu między Kapłanem i jego ministrami taki czyniono porządek dawania znaku pokoju; a dla Kleru i całego ludu ucałowaną przez kapłana i ministrów jego tablicę pewną, którą dziś nazywamy: Pacyfikał, dawano do ucałowania. — Dzisiaj znak pokoju odbierają wierni, gdy przed komunią Kapłana obchodząc wielki ołtarz, idą, jak mówią, na ofiarę, i całują krzyż. —

\*) Rozdz. 16. w. 16.

Chodzenie zaś na ofiarę w czasie Mszy ś., co powinno po Ewangelii następować, a co teraz i zbieranie ofiary w dzwonek zastępuje, przypomina zwyczaj pierwiastkowych Chrześcian, którzy z domów przynosili do kościoła chleb i wino, potrzebne do Mszy ś., w czasie której wszyscy komunikowali, i takowe rzeczy składali przy ołtarzu, jako ofiarę. Co zbywało od potrzeby do Mszy ś., rozdzielano między Kapłanów i ubogich.

## O szkodliwych i nieszkodliwych gadach krajowych.

(Dokończenie.)

**Żmija.** U żmii w dziąsłach szczęki dolnej i na podniebieniu znajdujemy drobne, gęsto ustawione ząbki; zaś w dziąsłach szczęki górnej nie ma drobnych ząbków; miejsce ich zastępują długie, łukowate, kłom podobne, białe zęby, które się w rowki tychże dziąseł chowają, i płakiem skóry zakrywają. Mają ciało lekko spłaszczone. U obojętnej i zabitej żmii nie widzimy owych długich zębów, bo są w dziąsłach pod zasuwającą się skórą ukryte; lecz rozdrażniona, otwierając paszczę dla ugryzienia, nasreża wspomniane kły, których u młodej żmii liczymy tylko dwa, to jest: po jednym z obu stron; przeciwnie u starszych będzie ich po dwa lub po trzy na obu stronach. Te to właśnie ruchome zęby, lubo nie grubsze od igły angielskiej, są jednak rurkowato przedziurawione, i tak na gruczołach, jadowitą cieczą wyrabiających, osadzone, że żmija w chwili kąsania naciskając nasadą owych zębów na gruczoły pod nimi będące, wyciska z nich jad, i rurką zęba do rany wlewa. Chcąc się o tych zębach u zabitej żmii przekonać, potrzeba igłą lub szpilką w górnym dziąśle zawazyć. Ostrzegam jednak, że to doświadczenie ostrożnie robić należy, ażeby się końcem podniesionego zęba w palec nie zakłuć; bo jad niezwyłej żmii tak jest niebezpieczny, jak żyjącej, i te same sprawia skutki, skoro się do rany dostanie. Tak więc owe szczuple zęby stanowią straszną broń, która wprawdzie tylko tak małe zadaje rany, jak ułkucie szpilką, lub igłą; lecz te jakkolwiek niepozorne dziurki, wznicią w okamgnieniu potężne zapalenie, przechodzące w nagłe i gwałtowne zapuchanie ciała na okolo otrzymanych ranek; a ta puchlina szerząc się po ciele, z trudnym do opisania pośpiechem sprowadza niebawmie gorączkę ranionej osobie. Im pora roku jest gorętsza, a skaleczona osoba delikatniejszego zdrowia, tém skutki jadu żmii są niebezpieczniejsze. Połknięcie natychmiast kilka łyżek oliwy i nacieranie ciała naokoło ran maścią ammoniakalną, zwaną Lini-mentum volatile, poskramia szereganie się jadu. W niedostatku tych środków, moczenie zranionej części ciała w mleku siadlem, okładanie rany rozdzieranemi żabami, lub kwasem ciastem, i gaszenie pragnienia świeżą serwatką lub limoniadą, przyniesie ulgę cho-

remu, nim się lekarza sprowadzi. Nieświadomi rzeczy lękają się owej czarnej listewki, którą gady węzowate zęby często wysuwają. Obawa ta jest płonna; bo ta listewka jest ich językiem, którym nie złego zrobić nie mogą. W naszym kraju znamy pięć gatunków żmii, z których żaden dłuższym nad trzy ćwierci łokcia nie bywa. Stósunkowo do takiej długości, są one znacznie grubsze od węzów. Cztery z nich bure lub rude, poznamy łatwo po ciemno-brunatnej, niby z parzystych węzłów złożonej smudze, która się ciągnie wzdłuż całego grzbietu, (jak to pokazuje w przeszłym Nrze Figura 2.) Piąty gatunek jest jeszcze lepiej odznaczony, gdyż cały jest ciemno-czarny, a wargi ma czysto białemi kropkami upstrzone. Tych więc pięciu gatunków żmij strzedz się potrzeba, one to wytepiac należy. Żmije są istoty leniwe. Pełzają powoli, czyniąc wschodkowane zwroty w poruszeniach ciała; lecz rozdrażnione, rzucają się nagle, jak lyskawica, a ukąsiwszy przedmiot swój złości, wracają do zwykłych leniwych poruszeń. Żyją zwyczajnie na miejscach odległych od wody. Szczególniej lubią gęste, cierniste zarośla, zaniedbane kupy kamieni w polach, i urwiska skał. Rzadziej je napotykamy na miejscach niskich i wilgotnych. Żywią się najczęściej owadami i ropuchami. Samica wydaje co rok od pięciorga do ośmiorga żywych żmijąt na świat, a towarzysząc im przez całe lato, w wściekłością rzuca się na każdego, kto się do nich zbliży. To więc podanie, że się młode żmije z brzucha swjej matki wygrzają i jej życia pozbawiają, jest niedorzeczna bajka, jak również i to mniemanie, że pocięta kawalki, nie tylko żyć nie przestaje, ale każdy z tychże kawalków rozrasta się i tworzy nową żmiję. Do tych bajki mogło być to powodem, że zabity gad węzowaty, aż do zachodu słońca ruszać się nie przestaje. W niektórych okolicach Polski nazywają żmiję gadziną i z tąd zapewne powstało przysłowie: „złosiwa gadzina, używana przeciw oszczercom.“ — Padalcę. Padalce stanowią trzeci rodzaj między gadami węzowatymi, który od dwóch poprzedzających dostatecznie jest odróżniony. (Zobacz w przeszłym Nrze Fig. 3.) Upadalcę ciała w całej prawie długości ma jednaka grubość, bo dopiero w końcu ogona postrzegamy cokolwiek zeszcuplenia; pokryte jest wszędzie jednakiemi, drobnemi łuskami, język ich jest niewysuwalny, a otwór gęby ciasny. Te, podobnie jak węże, zupełnie niewinne istoty, są zwykle rudawe, lub jasno-orzechowego koloru, lekko połyskujące i zupełnie okrągłe. Rozmnażają się, wydając żywe dzieci na świat. Żyją na miejscach niskich, wilgotnych i bagnistych. Pełzają bardzo powoli. Żywią się najczęściej dżdżownikami, czyli tak nazwanemi gładzami ziemnymi, tudzież owadami i liszkami, i gąsienicami; czynią więc lasom i łąkom wielką przysługę, wytepiając istoty szkodne. Dorastają pół łokcia długości. Ciało padalca jest tak krucho, że uderzone prętem, rozpada się w kawalki; ta okoliczność zjednała mu nazwisko, które jednak między pospółstwem inne utworzyło wyobrażenie. Powszecchnie bowiem utrzymuje ono, że pokalawszy sobie ciało krwią zabitego padalca, będzie się w tych miejscach rozpadać, czyli pękać, otwierając coraz nowe, a trudne do zagojenia rany. Jest to prawda zupełnie mylne podanie, ale ma tę zaletę, że nie jeden, z obawy opryskania się krwią tego niewinnego gadu i nabawienia się takich ran, spokojnie go ominie i zostawi przy życiu istotę pożyteczną.